



Stanisław Maślanka

część I z IV

Sygnatura notacji: **N0003**
Data urodzenia: **1.01.1924 r.**
Data nagrania: **28.11.2006 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 57 min, część III: 60 min, część IV: 44 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Maślanka: Urodziłem się 1 stycznia 1924 roku. A żeby było ciekawiej, mój ojciec się urodził też 1 stycznia, tylko 1893 roku. Więc urodziłem się w Kowlu na Wołyniu. Ojciec był kolejarzem i dziadek nawet był też kolejarzem, ze strony mamy, i ja też byłem troszkę tym kolejarzem w czasie okupacji. Więc jakiś czas tata, jak pracował w Kowlu, później jak to na kolei, to przenosili tam, to gdzie indziej. W końcu przenieśli ojca do miejscowości Jagodzin. To jest taka nieduża miejscowość, to jest pierwsza stacja kolejowa po stronie wschodniej, czyli za Bugiem obecnie. Po naszej stronie jest Dorohusk, a po drugiej stronie jest Jagodzin. I tam właśnie ojciec pracował na kolei, wokół Jagodzina, był to w ogóle rejon czysto polski. Co to znaczy? Wokół były wsie, gdzie mieszkali tylko Polacy. Cały taki rejon, wszystkie wioski, jedna obok drugiej, Jagodzin, Remacze, Terebejki, Kupracze, Wola Ostrowiecka, Ostrówki, Kąty. Chyba wszystko wymieniłem. To wszystko czysto polskie wioski. Ukraińców zupełnie tam nie było, gdzieś tam się trafiała jakaś jedna rodzina. No i oczywiście wszędzie trafiali się Żydzi, bo prowadzili interesy, więc... I właśnie w tym Jagodzinie zacząłem chodzić do szkoły powszechnej, obecnie to się mówi szkoła podstawowa i tę szkołę skończyłem. Była elegancka jak na owe czasy, bo ponieważ to środowisko było czysto polskie, car tam nie dbał przecież o szkolnictwo, więc po wojnie, po odzyskaniu niepodległości, władze polskie właśnie w tym rejonie wybudowały, jak na owe czasy taką, można nazwać nowoczesną szkołę. Murowana, jednopiętrowa, więc, no... W każdym bądź razie duża i na odpowiednim poziomie. Było dużo dobrych nauczycieli. Z tym że z tych wsi młodzież przychodziła, ale starsza, bo młodsza chodziła, w każdej z tych wsi były szkoły tak zwane kiluklasowe. To co najmniej trzy klasy i uważano, że już starsze dzieci mogą przychodzić do tej szkoły siedmioklasowej. I tak tam było. Z tej szkoły ja bardzo dużo wyniosłem. Dlaczego? Dlatego, że tak jak ja mówię, personel nauczycielski był na dużym poziomie. Nawet z Poznania przysyłano nam, jak to nazwać, już

magistrów na praktykę. Bo żeby zostać nauczycielem, to taki magister musiał przejść praktykę i zwykle zaczynali praktykę dwuletnią w szkołach powszechnych, w szkołach podstawowych. Jak ja chodziłem, przystano takich dwóch. Po dwóch latach ich zabrali i przenieśli do Liceum Krzemienieckiego. Znana bardzo miejscowość na Wołyniu i ta szkoła na bardzo wysokim poziomie od zamierzczłych czasów rozbiorowych jeszcze. To znaczy, że zdał egzamin ze stażu. Co się później z nimi stało, bo kontakt się z nimi urwał. W tej szkole, jak to mała szkoła podstawowa, to zaczynało się od godziny 8:00 rano. 8:00 rano, coś w rodzaju pobudki w szkole, program radiowy. Przed wojną był specjalny program radiowy dla szkół takich podstawowych zawsze o godzinie 8:00 rano. Więc młodzież przychodziła, ustawiała się w auli czy gdzieś, tam, gdzie miała. W tej szkole auli żadnej nie było, ale był długi korytarz i na tym korytarzu stawaliśmy i te 10 minut musieliśmy tej audycji wysłuchać. No i później poszczególne lekcje. No... Co ja się tam nauczyłem. Oczywiście byłem w harcerstwie. No, to już wiadomo co. Ale był taki przedmiot „roboty”. Teraz to się nie nazywa... nie wiem, jak się teraz to nazywają, ale to była lekcja jedna raz w tygodniu, gdzie czegoś, jakichś zajęć takich praktycznych uczono. Więc tego. Była taka duża stolarnia, był taki, jakby powiedzieć, mistrz stolarski i tam uczył młodzieży, zapoznawał ich z dłutem, z piłą i tak dalej. Uczył takich podstawowych rzeczy, żeby w domu mogli coś zrobić. Przyszła nauczycielka nowa, część tych uczniów zabrała i mówi: Słuchajcie, ja wam pokażę, co innego będziemy robić. Sprowadziła, jakby to powiedzieć, narzędzia i będziemy oprawiać książki, bo w szkole było tych książek nagromadzonych ogromna masa. Wszystko już zużyte i ja przez dwa lata nic nie robiłem na tych godzinach i poza tymi godzinami nic, tylko robiliśmy, zszywaliśmy te książki. Nauczyłem się tego introligatorstwa. Oczywiście to wszystko ręcznie, bo to ani elektryczności tam nie było, ani nic. Prasy do obcinania brzegów nie było. Była tylko specjalnie taka, nie wiem, czy państwo kiedykolwiek się spotkali, taki nóż. Jak on wyglądał? Był taki o średnicy jakieś 15 czy kilkanaście centymetrów, okrągły, dobrze wyostrzony, książkę się brało, sprasowało, ściśnięty i tak tym nożem się jeździło, nie suwało, tylko się tak jeździło. Elegancko, ponieważ to równo szło, zgodnie z tą prasą, więc w ten sposób się te książki wszystkie robiło. W domu, jakie ja tylko książki posiadałem, miałem wszystko oprowiane. Skończyłem sześć klas, bo przed wojną po skończeniu sześciu klas można było już iść do szkoły średniej. Oczywiście wszędzie to było za egzaminem. Większość kończyła tę siódmą klasę, bo mówią: no, nie wiadomo, czy ja dalej co pójdę, więc chcę mieć tę szkołę skończoną. I jak chcieli, prawda, to pozostawała, więc po sześciu klasach do gimnazjum w Chełmie. Dlaczego w Chełmie? Z Jagodzina, z tego, gdzie mieszkałem, do Chełma było 30 kilometrów, a do Kowla 56 kilometrów. Połączenie kolejowe do Chełma było dobre. Ja do tej szkoły dojeżdżałem. Wstawałem wpół do piątej rano. O piątej był pociąg, wpół do szóstej zajeżdżałem do Chełma, o szóstej byłem już w szkole. I te dwie godziny wykorzystywałem na odrabianie lekcji, zresztą dojeżdżało nas tam więcej osób. I tak przez trzy lata to trwało z klasy do klasy. W 1939 roku, 3 września, przyjeżdżam do szkoły, właściwie szkoły nie ma, to znaczy ona istnieje, z tym że lekcji żadnych nie będzie, chcieli tę szkołę przenieść gdzieś na wieś, ale to tak się potoczyły te całe losy, że właściwie nigdy ta szkoła nie powstała i ja z tego wszystkiego, co miałem robić, wróciłem do domu, do tego Jagodzina. No, Sowieci weszli. Oczywiście przekroczyli Bug, bo oni chcieli zająć aż po Warszawę, taki mieli plan. Nie tak jak ta granica, która jest obecnie. Oni doszli nawet pod Lublin, ale tam ich Niemcy zatrzymali i oni się wszyscy cofnęli na linię Buga, tak jak mniej więcej, jak ta granica teraz przebiega. No więc ja zostałem po stronie sowieckiej. Tata w dalszym ciągu na kolei. To, co oni tam płacili, no to... czyli znaleźliśmy się w takiej trudnej sytuacji materialnej. Ojca po kilku miesiącach, tak zresztą, jak i wszystkich Polaków, wszystkich kolejarzy pozwalniali. Sprowadzili wszystkich swoich z Rosji, obsadzili te stanowiska. No, coś trzeba było robić. Więc jaka praca pierwsza nam się przydarzyła.

Pierwsza praca to załadunek drzewa na wagony. Bo na placach przy tym dworcu kolejowym w Jagodzinie było sporo drzewa, przywiezionego z sąsiednich lasów, które było wysyłane wszędzie po Polsce, tak jak była sprzedaż wszędzie tego drzewa leśnego, gdzie ona szła, to w najróżniejsze miejsca, to nie bardzo wiem. I był tartak prywatny, Żyd ten tartak miał, więc początkowo on nie uruchamiał, ale najpierw zaczęliśmy pracować. Muszę się troszkę cofnąć. Sowieci, jak weszli, to był pas graniczny. Oni liczyli ten pas tam, ja wiem, w każdym bądź razie, cztery kilometry od granicy nie mogła stać żadna chata wiejska, nie mogło być wioski. Wsi nie mogło być, więc najbliższa wieś w Bereszce, która leżała tu obok Jagodzina, obok Rymacz, tam, gdzie ja mieszkałem, i tę wieś całkiem rozebrali. I teraz, co z tym drzewem zrobić. Więc, a w Rymaczach było nadleśnictwo. W tym nadleśnictwie urządzono szpital, bo tam szpitala w Rymaczach, w Jagodzinie nie było, więc urządzili szpital. No, trzeba palić. Wiadomo, że o węgla nie ma co marzyć, a tego drzewa było pod dostatkiem, więc te wszystkie drzewo rozbiórkowe z domów myśmy piłowali, rąbali i to szło, i to się szło na opał. Mielśmy maszynę do szycia w domu, to starsza siostra z mamą tam naprawiała tę bieliznę szpitalną. Przewozili jej to i tam na tej maszynie mama szyła, więc tak w ten sposób dorabialiśmy. Praca w tym szpitalu jakoś tak się skończyła. Aha, dyrektorem był lekarz, dobry lekarz, Żyd, miał żonę, która nie była lekarzem, ale była razem z nim. Brat lekarza też nie był żadnym lekarzem, to był takim administracyjnym dyrektorem tego szpitala i tak oni to tam prowadzili. Zaraz. Dalej, więc jak się ta praca nam skończyła, ja nie pamiętam nawet, dlaczego skończyła, w tym szpitalu rąbanie tego drzewa, został uruchomiony ten tartak żydowski. I ponieważ tego drzewa tam, tak jak mówiłem, było sporo nawiezione, poza tym Sowieci zaczęli masowo wycinać lasy w tamtych terenach. Ale to masowo. Proszę panią, Niemcy później byli tam jeszcze cztery lata, nie zdążyli nawet tego wszystkiego do siebie wywieźć, a w ostatnich miesiącach to oni nic, tylko pociągi i ładowali, ładowali, wszystko wywozili i to na Dolny Śląsk szło, nawet wiedziałem, do których miejscowości, bo później sprawdzałem i te miejscowości są obecnie w Polsce. Wszystko tego. Więc tego drzewa było pod dostatkiem. Teraz tak, to był pas graniczny, więc Sowieci chcieli to jakoś, czy ja wiem, nie ufortyfikować, ale jakoś tak przystosować, żeby w razie napadku ze strony Niemców czy coś, mieć jakąś obronę. Zaczęli stawiać najrozmaitsze budowle, baraki. Tego mnóstwo, mnóstwo stawiali. I to tak już to wszystko wybudowali. Nagle przyszedł jakiś rozkaz, wszystkie te baraki, wszystko rozebrali do tego. Co się stało? Okazuje się, że przyjechał jakiś tam generał i powiedział: Tu jest za blisko, siedem kilometrów jest Bug, jak ktoś przez lornetkę popatrzy, to widać, co się tu buduje. I miał rację, bo z wieży kościelnej w Dorohusku można było zobaczyć. Wszystko to wynieśli 15 kilometrów dalej do lasu. I tam w tym lesie to budowali. No, ale żeby budować, trzeba mieć materiał, więc ten tartak żydowski pracował pełną parą, ale to była lokomobila parowa, na te jego potrzeby przedwojenne, na jedną zmianę to to wystarczyło. Ta lokomobila jakaś szła. A jak oni to puścili na trzy zmiany, to ta lokomobila wysiadła. Więc, no, co tu zrobić. Stanęła nagle co zrobić z tymi ludźmi, którzy tam byli, gdzie ja też tam pracowałem. No właśnie, na budowę tych nowych różnych magazynów, składów, 15 kilometrów dalej w lesie. Zima, mróz, wygnali nas tam, przylatuje jakiś tam major, bo to wszystko wojsko budowało. Oczywiście, o, mówi, dobrze, będziecie nakrywali magazyny, dach robili. Czym? A no właśnie, nie mieli czym. Ale za to brali drzewo, nie pamiętam nawet jakie, cieli na takie drobne listewki długości pół metra, coś w rodzaju gontów, tylko że gont to ma nacięcie, prawda? Wiecie państwo. A to czyste. Czyste, tak jak linijki, które się używa w szkole. I jak to robić. Kłaść co 10 centymetrów warstwa. Jak się od tego... pierwszą położyłem na dole, 10 centymetrów następną, i tak dalej, to jedno na drugie zachodziło, to oczywiście chroniło doskonale przed deszczem. No to kazali nam to robić, ale przywieźli nam te deszczułki. My mówimy: no dobrze, ale czym my to mamy przybijać. Co, mówi, nie ma gwoździ? Poczekaj, zaraz będą.

Za kilkanaście minut podjeżdża samochód. Wywalają cały samochód drutu kolczastego. My mówimy: nam drut kolczasty nie potrzeba. Przecież nam potrzeba gwoździ. Oj, ty durak. Nie nada gwoździe. A co robić? Ciąć ten drut kolczasty na takie te i tym przybijać. Proszę panów, żeby to było twarde i mocne jak gwoździe i jedna warstwa, a to tych warstw jest kilka i to namarznięte. To człowiek bił, bił tym i tego. Taki magazyn 20-metrowy, to nas brygada 30 ludzi położyła coś tylko takie dwie warstwy. To przyleciał ten budowniczy jakiś tam major, popatrzył, mówi: Co, 30 ludzie i tylko te dwie warstwy? Zabrać ich. Wygonił nas do lasu. Co myśmy w tym lesie robili. Jak oni tych drzew naścinali, to duże te kłocce, to wszystko przywozili żeby do tartaku, a te wszystkie czuby obżynki zostawały w lesie i to tak leżało, więc myśmy to porządkowali, obcinali te gałęzie, a z tych czubków, które tam, powiedzmy, do 10 centymetrów czy coś, były grubości, cięto się na metrowe te i ustawiali, tak jak to zwykle się w lasach ustawia w tak zwane metry. Na czym to polegało? To było metr wysokie, metr szerokie i metr długie. Takie to się mówiło sztable. To, jak to nazwać teraz po polsku, to nie wiem. W każdym bądź razie i to myśmy tak robili. W międzyczasie oczywiście tej lokomobili nie bardzo się dało naprawić, ale my wam przywieziemy traktor. Przywieźli ten traktor, on właściwie przyjechał, tak zwany „staliniec”. Tak się nazywał. Czym on był napędzany? Napędzany gazem. Jaki to gaz? On miał z boku taką wielką komorę, taką wysoką i się tam wrzucało kostkę taką drewnianą dębową. Takie sześciątne kostki pięć na pięć. Tam się to wrzucało i oni tam jakoś to cisnęli, i z tego powstawał gaz. I rzeczywiście ten „staliniec” był mocny jak licho, aż się cały tartak trząsł. On to rąbał. No tak idzie miesiąc, dwa, później nagle nie idzie. Dlaczego nie może pracować? Sprawa bardzo prosta. Żeby go zapalić, zapuścić, jak to się mówi, motor, to korbą żadną nie dawało rady. On z boku miał silniczek spalinowy, taki dwucylindrowy, który miał tryb do jego koła takiego, ja wiem, jak to koło nazwać, zamachowe, nie zamachowe. W środku przy tym silniku miał takie koło. No i ten silniczek zaczął obracać to koło i w ten sposób się uruchamiał ten silnik. No, ale co z tego, po dwóch miesiącach, tak jakby ktoś wziął, młotkiem sklepał ten gwint na tym wielkim kole. I ten silniczek mały, trybik, ślizgał się na tym. Nie mógł zapalić. No to po części zamiennie. W Rosji części zamiennych nie było. Pojechali do fabryki, a że to wojsko i takie zadanie wielkie, więc drugiego „stalińca” przywieźli i ten drugi „staliniec” zaczął pracować i drzewo to cięliśmy, ale uderzyli Niemcy i te traktory poszły na złom. Niemcy początkowo tam nic nie robili, ten tartak stał. Później trochę zaczęli, ale to jeszcze opowiem. Teraz tak. Wypada mi jeszcze wrócić do miejscowości, w której mieszkałem, co tam było, jak tam było. Więc tak jak już mówiłem, wioski czysto polskie. I tak, co było w tym Jagodzinie. Na stacji poczta. O tej szkole, która była w Rymaczach nazywała się siedmioklasowa publiczna szkoła powszechna w Jagodzinie, Rymaczach, bo ona stała tak, no, prawie, między dwoma wioskami. Te dwie wioski były przegrodzone linią kolejową, przy tej szkole zaraz był posterunek policji. Gminy w tym nie było, mimo że to polski rejon, mieli już ją wybudować, już były plany, wszystko, ale wojna wybuchła, nie zdążyli. Gmina była właśnie w tej wsi Bereszce, która stała na samym Bugu, którą rozebrali i którą myśmy spalili na opalenie tego szpitala. Co jeszcze w tym Jagodzinie, przemysłu żadnego nie było. Ten tartak taki mały, który też zatrudniał tam kilkanaście osób, mleczarnia, która zbierała mleko i tam gdzieś sprzedawała to, a tak właściwie to żadnego innego. No, były jeszcze dwa wiatraki, o. Ale to już żaden przemysł i tyle wszystkiego. Oczywiście, elektryczności nigdzie nie było. Pierwsza elektryczność to dopiero w mieście powiatowym Luboml. Taka miejscowość powiatowa tam była. To była następna stacja kolejowa za Jagodzinem, przy tym mieście. I tam była elektrownia, ta taka miejscowa, która oświetlała, ale tylko miasto, a resztę to była za słaba, tak że światło nawet jakby chciał przeprowadzić tam do nas, to ono by już tam nie dotarło, bo była za słaba. Ten prąd by tam po drodze zaniknął. Teraz tak, co jeszcze. Na tym pasie granicznym, Sowietci budowali poza tymi magazynami,

które ja miałem nakrywać dachem, to były tylko magazyny, ale niezależnie od tego właśnie bezpośrednio tu w Rymaczach, w Jagodzinie i nawet jeszcze troszkę bliżej Buga, nabudowali wszystko i ziemne okopy. Cięli obok las, wszystkie lasy cięli z tego i budowali te okopy. Tylko jak oni las cięli, no to w jaki sposób. Po co się schylać, kiedy stojąco można ciąć drzewo, łatwiej się piłą na stojąco piłuje drzewo niż kłęcząco. No i zostawało wszędzie w tych młodych lasach, bo to cięli te młode lasy właśnie na takie krótsze bale, żeby te bunkrować. Co myśmy później te pnie wszystkie wycinali, zabierali do domu, nic nam nie mówili i tego. I mieliśmy drzewo opałowe. Oczywiście w domu kolejowym, gdzie mieszkaliśmy przed wojną, mieszkaliśmy przy samym torze. Budynek był cztery metry od torów kolejowych. Szło sobie wyobrazić, każdy jadący pociąg, to było dobrze w domu słychać. Oczywiście do nas to nie docierało, bo człowiek już był tak przyzwyczajony, że to nam nie tego, nie przeszkadzało. Teraz dalej. Wojska w tych okopach nigdzie nie było. Były puste. Nikt nie zajmował. Przed samym wybuchem, przed samym uderzeniem Niemców, ni stąd, ni z owąd skądś się wzięło coś. Trzech żołnierzy tych bolszewickich i tak poza wsią było takie troszkę wzniesienie, bo dalej była łąka. Więc na całą tę łąkę był doskonały, z tego bunkra był obstrzał. Znalazło się trzech ruskich żołnierzy i tam siedzą w tym. Nigdzie obok nie było ich. Nie wiem, co to za jakiś wymysł, żeby przysłać do takiego bunkra trzech żołnierzy. Jak Niemcy weszli, to oczywiście pierwsze strzały to wszystko na posterunki straży granicznej. Oczywiście artyleria, wszystkie te punkty straży granicznej, z doskonałą celnością wszystko to zburzyła i ci, żołnierze straży granicznej to jak zdążył, to uciekł, a jak nie to w bieliźnie, no, różnie to było. Jak był na patrolu, to wiadomo, że uciekał. A w tej właśnie miejscowości Luboml, na takim wzniesieniu, dlaczego na wzniesieniu wybudowano olbrzymie koszary. I tam wojsko było. Więc jak padły pierwsze strzały z artylerii niemieckiej na te strażnice i zniszczenie ich, to później wojsko szło, niemieckie i nie miało właściwie żadnego oporu, bo nikogo nie było. Ale te pierwsze wojsko w tym Lubomlu zostało obudzone. Akurat była jakaś uroczystość, wszystko było, to wojsko było zajęte jakąś zabawą, jakąś coś, ich nie było, więc te pierwsze strzały i jak spadły na te koszary, to oni dopiero zaczęli się tworzyć i organizować. Weszli do nas do wsi Niemcy, no i w tym czasie zdążyli się ci Sowieci zorganizować, i zaczęli nacierać na Zachód na Niemców. Ci trzej z karabinu maszynowego jak pociągnęli, to na tej łące jakby Niemcy prosto szli. Nie zważali na nic, się specjalnie nie kryli i tam trafili ich coś tam i zabili, no to Niemcy się tam powstrzymali, przywieźli jakieś tam działko, tam coś strzelili w ten bunkier, ale zaprzestali. Poszli bokiem, wleźli na ten bunkier i ich wszystkich wyciągnęli, bo to jednowlotowy, to jest wielkości tego pokoju z jednym wylotem na ten i tak ich zabrali. A we wsi w Jagodzinie Sowieci postawili taką dużą wieżę drewnianą, wysoką. I tam zawsze siedział dzień i noc strażnik. I miał telefon. Jaki telefon? Jak zakręcił i powiedział: „Povozduhje”, to znaczy jakby alarm powietrzny czy coś, to mu dawali bezpośrednio Kijów. Dlaczego tak? Bo Niemcy przed uderzeniem na Sowieców, przysyłali trzy samoloty. Przylatywały nad granicę, nad Bug trzy samoloty. Jeden leciał prosto na wschód, dolatywał do Lubomla i wracał, drugi szedł na północ wzdłuż Bugu do Włodawy, trzeci szedł na południe wzdłuż Bugu do Włodzimierza. I tak później oni wracały i tego. I sobie gdzieś leciały. Tak zaczęli co parę dni przylatywać. No, my mówimy: oho, tylko patrzeć jak Niemcy uderzą. Nagle czytamy gazetę, w której jest sprostowanie TASS, a TASS to jest coś w rodzaju telegraficznej agencji sowieckiej, tak jak nasz PAP, oficjalny organ taki prasowy. Że prostuje się wiadomości i plotki, które są rozsiewane, że wojska stacjonujące w Generalnej Guberni, to znaczy w Polsce, przyjechały z frontu greckiego na odpoczynek i nie mają żadnego zamiaru uderzenia na Rosjan. No, mówimy, jak już... Bo tam zwykle to, co prostuje TASS, to wiadomo, że to jest nieprawda. Za parę dni właśnie Niemcy to zaatakowali. I stało się tak, że część Jagodzina, jak Sowieci się zbliżyli, część Jagodzina była już u Niemców, a część była jeszcze u Rosjan. W Ryma-

czach to samo. Część Rymacz była po stronie niemieckiej, a część po stronie sowieckiej. I to już trwało tak, wojna się zaczęła chyba w niedzielę, 22 czerwca. Już środa była i jeszcze tam tak się rozstrzelali trochę i nic nie tego. A w środę już 100 kilometrów od Bugu był zajęty Łuck. Dlaczego? Bo szosą z Chełma na Włodzimierz, tam był most, czołgi poszły i zajęły mu już Łuck, tak że to wojsko, co przechodziło koło nas, to tylko oczyszczało teren od resztek rozbitek tych różnych wojsk sowieckich. Proszę państwa, co się tam dzieje, całymi kompaniami i batalionami, całymi pułkami wojska sowieckie się poddawały. Coś niesamowitego. Tak wszystko to szło do tej niewoli. Trochę chciało, trochę nie chciało, bo jak Niemcy poszli w głąb, otoczyli, więc wyjścia też nie mieli, ale i jeszcze z innych powodów mieli dość też rządów tam komunistycznych. Ich wszystkich zbierali, i pierwszy obóz stworzyli w Chełmie na Okszowie. On trwał do końca, nazwijmy to wyzwolenia, aż Sowieci przyszli i ciekawe, ten obóz gdzie byli ich ludzie żołnierze, gdzie byli też żołnierze dwudziestej siódmej, został zbombardowany przez sowieckie samoloty. No, bo to były baraki, widocznie myśleli, że to wojsko w tych barakach, rzuciło tam parę bombek i parę osób tam zostało zabitych. Teraz, co dalej. Aha, nie wspominałem tutaj, że w Rymaczach na takim wzniesieniu między Rymaczami a Jagodzinem, było tak troszkę obok tego toru kolejowego takie wzniesienie i tam stał kościół parafialny. Ten kościół to był nowy kościół, parę lat przed wojną wybudowany. Tak że do wybuchu wojny wieża była jeszcze nieskończona. Było wszystko wewnątrz. I tego, jak Sowieci nadeszli, to Niemcy już w tym kościele byli i z tego kościoła tam, no, wszystko wiedzieli, jak ci Sowieci atakują. Artyleria rosyjska co się nastrzelała, tak były te pola wszędzie ostrzelane, ale trafili tylko raz gdzieś tam wysoko w dach, no i tam coś dwóch Niemców wtedy było, zabiło, ale tego kościoła Sowieci nie odbili. Później się wszyscy cofnęli. Sowieci, wiadomo, stara metoda. Na sztychi, co to znaczy, na bagnety, atakowali. Zwłaszcza był taki olbrzymi atak w Jagodzinie. Na takich czystych polach. Niemcy nawet nie wstali, tylko z karabinów maszynowych to siekli. Tych trupów tam nasiekli ogromna masa. No i to wszystko tak leżało. Poszli Niemcy trochę dalej i te trupy leżą. Nie pozwolili Niemcy zbierać. Dopiero po tygodniu czasu, a to upał, to wszystkie te trupy, to było już spuchnięte tak, bo to nie wiem, na skutek tego ciepła, pozwolili dopiero chować, to się nigdzie ich nie ściągało na żadne jakieś jedno miejsce, jeden cmentarz, nic, tylko się chowało. No, oczywiście smród był taki, że nie do wytrzymania. Tam, gdzie kto leżał, kopało się na polu i się zakopywało i tak tych wszystkich Sowietów zakopaliśmy. Teraz co zrobili ci żołnierze, co byli na wieży obserwacyjnej? Oczywiście jak padły pierwsze strzały, z tej wieży zleźli, przebrali się po cywilnemu i sobie poszli, bo to byli, no, gdzieś z Ukrainy, nie z terenu przedwojennego Polski, tylko jeszcze gdzieś za polską granicą byli i tam sobie poszli. I w ten sposób. Ten kościół został troszkę tak naprawiony, no i tak był, organów nie miał, miał tylko fisharmonię, która też była od pocisków troszkę pokiereszowana, ale jakoś tam grała. Ksiądz był, organista był, więc normalnie to się odprawiało. Więc to była parafia, no, spora parafia, ludzi mieli daleko do kościoła, więc w Ostrówkach była druga parafia, to tam ludzie mieli kościół. Poza tym w Jankowcach mieli ludzie taką kaplicę specjalnie wybudowaną, to ksiądz dojeżdżał, a tak ci pozostali wszyscy przychodzili do tego kościoła w Rymaczach. Kłopoty były w okresie sowieckim duże z kościołem, bo nałożyli podatki. Ale to tak, żeby tak troszkę się liczyli i te takie podatki były niewielkie, że ludzie się tam składali, pieniądze dawali i jakoś to uchodziło i tak dotrwaliliśmy. Jak weszli Niemcy, to oczywiście pierwszy okres, tam coś miesiąc, to wojsko pilnowało torów, uruchomiło transport i tak dalej. Most na Bugu, który w 1939 roku był trzy razy bombardowany przez Niemców. Pierwszego dnia przyleciały trzy samoloty, żaden nie trafił, drugiego dnia sześć, żaden nie trafił, trzeciego dnia przyszło aż dziewięć bombowców niemieckich i z tych dziewięciu dopiero padła jedna bomba i most składał się z trzech przęseł. Jedno przęsło, które się znajdowało akurat nie nad samą rzeką, tylko już nad terenem, troszkę tak

się skrzywiło, więc był tam specjalny pociąg saperski, który opiekował się cały czas tym mostem. Tam podklinował i można było jeździć. Ale co ci saperzy mieli robić? Jak wojny już właściwie nie ma, oni się... dowódca tego rozwiązał, każdy poszedł w swoją stronę, ale za to wpuścili parowóz na środkowy ten, podcięli i na środkowym prześle i ten parowóz tak kołami zaczepił bodajże nawet chyba o wodę. Można było przejść piechotą, ale już o kursowaniu nie było mowy. Sowieci ani Niemcy w ciągu tych pierwszych dwóch lat, póki była tam granica, tego mostu nie ruszali, ale Niemcy jak tylko przyszli, zaraz zaczęli naprawiać ten most i go naprawili i pociągi zaczęły kursować. Wtedy wojsko, które dyrygowało tą linią kolejową, aż do Kowla, wycofało i wszystko to objęli kolejarze, niemieccy kolejarze. Niemieccy kolejarze przyjechali z Warszawy, bo jak mieli Niemcy uderzyć na wschód, to ich już tam nagromadzili w Warszawie całą masę dla obsadzenia tych nowych stanowisk. I do Jagodzina na ten dworzec też dali trzech Niemców i oczywiście kazali wszystkim Polakom, którzy służyli przed wojną na kolei powołać z powrotem, więc wróciliśmy do tego domu, gdzie mieszkaliśmy przed wojną i ojciec dalej na kolei pracował, a ja też zacząłem na tej kolei pracować. Zacząłem przychodzić tam na tę stację, ponieważ znałem trochę język niemiecki ze szkoły jeszcze, więc łatwiej się tam jakoś z tymi Niemcami porozumiewałem i tak zostałem. Pociąg z Kowla, ponieważ to już była ślepa linia, dochodził do Jagodzina. Później skasowali i dochodził tylko do Lubomla, bo tam można było... Była woda. Lokomotywy tam nabierały wodę. Zresztą wieża ciśnień była wybudowana od razu w tym czasie, jak budowali tę kolej, więc co ileś kilometrów musiała być taka wieża ciśnień, żeby przejeżdżające pociągi nabierały wodę. Więc do Jagodzina już żaden pociąg nie dochodził. Jak Niemcy to uruchomili, to oczywiście w tych wszystkich stacjach już byli Niemcy. Nas Polaków wszystkich zatrudnili i to tak bywało. No, oczywiście konspiracja. Muszę zacząć jeszcze w 1939 roku. W 1939 roku, dopóki kolejarze w holu jeszcze pracowali, póki ich nie zwolnili, póki jeszcze ojciec pracował też na kolei, zaczęli przyjeżdżać kolejarze, koledzy ojca. Oczywiście konspiracja już wtedy powstała, już myśmy tam wszyscy należeli. Z tym że z tą konspiracją to za Bolszewików to była ciężka sprawa, bo to nie można się było nigdzie ruszyć, nie tego. Trudności były, więc jakiejś czynnej takiej większej działalności trudno było prowadzić. Wszystko polegało raczej na takim wzajemnym spotykaniu się, wzajemnej pomocy i tak dalej. Więc jak Niemcy weszli, oczywiście konspiracja zaczęła działać dalej. W pierwszych początkach też była słaba, to główny problem to była broń, więc pozostałości po Sowietach, po wojskach sowieckich, tam broni trochę tej było i tak wszyscy starali się o to, żeby to jak najwięcej tego nazbierać. Co jeszcze o konspiracji. Oczywiście, ponieważ ja na kolei, więc obciążyli mnie od tamtej pory i ja jeździłem do Kowla, gdzie był inspektorat i gdzie była komenda okręgu w Kowlu. Nie w Łucku, chociaż Łuck był, jakby to powiedzieć, stolicą Wołynia, ale komenda okręgu mieściła się w Kowlu. Był inspektorat i wszystko. Każdy powiat miał w czasie okupacji, zgodnie z zasadami podziału administracyjnego, każdy podział miał obwód, więc komendantem obwodu już za okupacji był nauczyciel, porucznik rezerwy, który mieszkał w Jagodzinie, właściwie w nowym Jagodzinie, bo wieś jak to trochę się podzieliła na takie dwie. Jedna zasadnicza taka zabudowana gęsto i druga rozrzucona trochę jako kolonię w nowym Jagodzinie i tam była taka mała szkoła. On przed wojną już tam był. Od przed wojny tam i tak siedział. Sowieci na razie nauczycieli u nas nie ruszali. Wszystko odbywało się, język wykładowym wszystko był polski, zwłaszcza w tej szkole siedmioklasowej. Przysłali tam tylko z powiatu takiego Ukraińca, który został dyrektorem tej szkoły, przysłano dwie nauczycielki, które tam jakoś języka rosyjskiego uczyły, bo moje rodzeństwo, dwoje młodszych, do tej szkoły chodziło. Ja już byłem za duży.

Anna Teresa Pietraszek: A czy nazwisko tego porucznika rezerwy, nauczyciela, może pan pamiętać?

Stanisław Maślanka: Tak, Kazimierz Filipowicz, pseudonim „Kord”. Tak jak ja mówiłem, ze względu na to, że byłem kolejjarzem, to ciągle jako kurier, to jest coś więcej jak łącznik, bo łącznicy mieli różne zadania, w zależności od miejsca. Nieraz placówkę, na placówkę czy coś, to byli tacy zwykli łącznicy, ale już na dalsze trasy czy coś to się mówiło raczej kurier. I ja tam często do tego Kowla jeździłem. W związku z tym miałem mnóstwo przygód. Bo proszę państwa, chyba nie ma gorszej służby, jak służba kurierska. Sprawa bardzo prosta.

Anna Teresa Pietraszek: Przepraszam, mam pytanie. Czy był pan zaprzysiężony?

Stanisław Maślanka: No, oczywiście. Właściwie zaprzysiężony już byłem zaraz w 1939 roku. Później drugi raz to zaprzysiężenie było zrobione. Oczywiście. Zaraz na początku wszyscy kolejjarze zostali zaprzysiężeni. Dlaczego ja mówię, bo proszę państwa, zwykły żołnierz to ma swego drużynowego, dowódcę oddziału, dowódcę kompanii, czyli dalej, różne władze i o nic się nie martwi, bo za niego przełożeni odpowiadają. Kurier nie ma żadnej władzy. Jedzie, nigdy... Nigdy nie wiadomo, wróci i co go czeka. Więc tych przygód to ja miałem niesamowicie. Jedna taka większa moja przygoda, jechałem właśnie do komendy do Kowla, do komendy inspektoratu, do majora Kowala. W tamtą stronę zawiozłem jednego z podoficerów, bo tam dwudziesta siódma, właściwie wtedy jeszcze nie była dwudziesta siódma, robiła jakiś kurs taki minerski czy coś i ja go tam odwoziłem. No i tam jeszcze inne jakieś rozkazy, maszyny do pisania wiozłem i tak dalej, więc taki obładowany byłem, zawiozłem do Kowla, wszystko zdałem, jest jak najlepiej, jestem u Kowala, mówię: o, dobrze, że jesteś, to ja ci coś dam. A co takiego? On mówi, tu stoi worek. Ja mówię: co jest w tym worku? To są mundury niemieckie. To, mówi, na pewno wam się tam przyda. No, ja, Kowel dobrze znałem i te wszystkie, no, tory i tak dalej, i pociągi, wiedziałem, którędy się tam obracać, żeby jakoś nie wpaść. Niosę ja ten worek, nagle z tyłu buch mnie w żebra. Karabin, Ukrainiec, straż kolejowa. Co ty tu masz? Ja mówię to służbowe te. Mówi, dobrze. Oni łapali tak zwanych szmuglarzy. Na czym to polegało? Ponieważ na Wołyniu nigdzie nie było sklepów, nigdzie nie można było sprowadzać, więc wszystko przemytem z Generalnej Guberni, to, co kolejjarze, co inni w jakiś sposób, co Niemcy gdzieś, handel kwitnął, no, niesamowicie. No i prowadzi mnie tam jeszcze jakieś z 200 metrów, był taki baraczek, wchodzę, a tam jest już Niemiec. No i on mówi, że złapał takiego szmuglarza. Niemiec mówi: co masz w tym worku? Otwórz go. No, ja otwieram, on patrzy, co, moje mundury? A skąd tyś te wziął te mundury? Ja mówię, kupiłem w odwszalni. Wiecie państwo, co to jest odwszalnia? Więc wszyscy żołnierze jadący z frontu do domu musieli przejść przez tę odwszalnię, to znaczy dawali swoje całe ubranie, to szło, było parzone i tak dalej, mycie było, tak, żeby on już nie miał żadnych zarazków i nie nawiózł do Rosji, a tam już rzeczywiście handel kwitł. No, ja mówię, kupiłem. Dobra, co ty będziesz z tym robił? Ja mówię, co, normalnie bierze się, przefarbowuje i ludzie chodzą. Ten Niemiec tak popatrzył, wiadomo, że ja głupoty opowiadam. Mówi, co ja będę z tobą rozmawiał. Przyjdzie żandarmeria, to im wszystko opowiesz. Teraz, oczywiście zrobili rewizję przy mnie, zabrali mi pieniądze. Miejscowe ukraińskie, polskie, które kursowały w Generalnej Guberni i niemieckie, które oczywiście też wszędzie kursowały. Zabrali mi to, bo też trochę tego miałem, bo przywoziłem zawsze pieniądze na wydatki oddziału. A mnie nie w tym baraku, tylko obok, jakiś taki był nieduży mały baraczek i tam trzymali aresztowanych. Mnie tam wprowadzili do tego, tam siedzi już czterech. Po polsku rozmawiają, pytam się, panowie, co, czemu tu siedzicie? A, bo myśmy pracowali

w jakiejś firmie, która była tam na wschodzie i myśmy tam uciekli, ale nas po drodze złapali i nas tak trzymają. Ja pytam się, macie zapalniczki? No, mamy. Ja mówię, to dajcie mi te zapalniczki. Ja miałem lewy dokument nie swój, tylko lewy dokument, na którego wiozłem tego podoficera na ten kurs i to on był tak w kieszeni, że oni tak namacując na wierzchu tego nie wyczuli, bo to nie był jakiś grubszy dowód, tylko taki karton złożony bez zdjęcia, bez niczego. Imię, nazwisko kolegi, który ze mną razem pracował. A ja wiedziałem, że, no nie wyjął, tak że wiem, że ja go mam. Oni mi dali, ja ten dowód spaliłem. Zawsze myślę, jedna rzecz mniej. Siedzę tak i nic się nie dzieje. Myślę: Co jest? Nagle otwiera Niemiec drzwi. Nazwisko twoje? No i ja mówię. Zresztą on ma dokument i tego, sprawdził, no tak, zgadza się. Chodź ze mną. Ja wchodzę na ten dyżur, gdzie siedział ten Niemiec, który mnie przyjął, który nie chciał ze mną rozmawiać, bo mówi, nie ma po co, żandarmeria będzie ze mną rozmawiać. Bierze nagle dokumenty moje, oddaje mi te dokumenty, mówi: Masz dokumenty i zjeżdżaj. Ja nie rozumiałem, o co mu tu chodzi. A ten ryknął na mnie: No, co stoisz, zjeżdżaj, wynoś się! Proszę państwa, mnie się zrobiło zimno, bo był taki zwyczaj, że jak złapali ci Ukraińcy czy Niemcy jakiegoś szmuglarza, to zastrzelili go, zabrali szmugiel, powiedzieli, gonili go, zabili i tego, i ich nikt nie sprawdzał, a łupem się dzielili. Ja mówię, to jeśli on każe mi wynosić się i tego, i oddaje dokumenty, to coś widocznie nie tak jest, więc tak tyłem się cofam za drzwi, wychodzę i tak się oglądam, czy ktoś stoi przed tym barakiem. Nie ma nikogo. Idę jeden krok, drugi, dziesiąty, nie ma nikogo. To tak zacząłem nawet troszkę biec i tam między te pociągi. I teraz się zastanawiam, co się stało. Dla mnie to było po prostu niezrozumiałe, bo gdyby chcieli mnie zabić czy coś, gdybym uciekał, to tak jak ja przypuszczałem, to by było wszystko w porządku. No, ale nic, między pociągi, jest akurat pociąg towarowy jadący w kierunku Warszawy, więc wsiadam do niego i jadę do domu. Przyjeżdżam do domu, na stację, wysiadam, nagle koledzy strasznie się ucieszyli, że ja wróciłem. Mówi, to dobrze, że jesteś. Ja mówię, słuchajcie, mówię im, co się dzieje, mówi, sprawa bardzo prosta. Mówi, jak ciebie aresztowali, to ten Banzus, ten strażnik kolejowy, zadzwonił do nas i powiedział, że taki i taki został aresztowany, już więcej do was nie wróci. No, telefon odbierał akurat kolega, znał też trochę język niemiecki i zrozumiał dokładnie, o co chodzi. No i teraz koledzy, powstała panika. Oczywiście dali znać do dowódcy „Korda” i tak dalej, bo tak się wydaje, aresztowanie to sypnie czy nie sypnie, to nigdy nic nie wiadomo. Tak samo ci, bo komenda obwodu była w Lubomlu jako powiat, ale ostatnio jak mieściła się ona już w Rymaszach, bo to się wszystko przeniosło w teren. I mówi, przyszedł na zmianę taki Niemiec na dyżur, porządny człowieczyna. Kolega mówi: panie szefie, mówi, Maślanka pojechał do Kowla ze szmuglem i go tam aresztowali. A kto go aresztował? Mówi, Banzut z Polizei. Czyli straż kolejowa. Tak, mówi, poczekaj. Za telefon i dzwoni do Kowla. Do kogo on dzwoni? W Kowlu była dyrekcja kolejowa, która obejmowała teren gdzieś aż pod Kijów, więc to jest bardzo wysokie stanowisko, on zadzwonił do takiego, oberinspektor do spraw tej straży kolejowej. Zadzwonił do niego, że ja zostałem aresztowany za szmugiel. Ten mówi: Tak? Dobrze. Ja to załatwię. I z tego wynika, że on zadzwonił i kazał mnie wypuścić. A dlaczego tak się stało? Skąd taka zbieżność, ten zwykły Niemiec do takiego wielkiego oberinspektora dzwoni, żeby się za mną wstawił, okazuje się, że on często przyjeżdżał do tych Niemców kolejarzy i tam sobie popijali. Im nie wypadało pojechać za Bug do Chełma coś kupić na wymianę, żeby sobie kupić coś z żywności i tak dalej, więc przyjeżdżali do Jagodzina, do tych Niemców, razem tam popijali, ci Niemcy kupowali im tam różne rzeczy, później tam to sprzedawali i taka wymiana szła. Tak samo przyjeżdżał nie tylko oberinspektor, ale przyjeżdżał też zastępca dyrektora tej kolei takiej wielkiej też. A dlaczego on przyjeżdżał? Na urlop puszczała ich rzadko. Ale dyrektor kolei, jak coś napisał, że moja frau została ranna w czasie bombardowania czy coś tego, pisał do niego takie podanie, ten mówi: Puścić. No i taki kolejarz jechał z wafówką, jechał do siebie do domu

na te trzy czy cztery dni, po drodze zajeżdża do rodziny tego dyrektora i to tam przekazuje. I to co pewien czas inny Niemiec jeździł, wymyślali mu jakiś pretekst, a on jako dyrektor to tego. I stąd mnie to puścili. No tak, ale to jeszcze nie koniec. Co ja mam teraz robić dalej? Taki ja pewny nie byłem, czy to się nie wyda, czy temu oberinspektorowi ktoś nie powie, że to jest nie tak, czy tego. Poszedłem do... Zacząłem rozmawiać z „Kordem”, słuchaj, mówi, nie ma co się zastanawiać, przychodź do mnie i już, karabin i jest dla ciebie. Ja mówię... Tylko on mówi, cholera, potrzebny tam jesteś. Prawda, bo ja ciągle jeździłem. Jeździłem do Kowla, jeździłem też za Bug do Chełma, do nawiązywania łączności z tą konspiracją chełmską z okręgiem lubelskim, więc ja mówię: panie poruczniku, to spróbujmy inaczej, ponieważ już mi... Ja będę bardzo uważał i koledzy na stacji będą bardzo uważali, bo żeby przyjść na stację bądź mnie aresztować, to jakoś to musi być widać, prawda? Czy Niemcy, czy stąd przyjadą, czy coś, to będą tak uważali, żebym ja miał czas wynieść się.